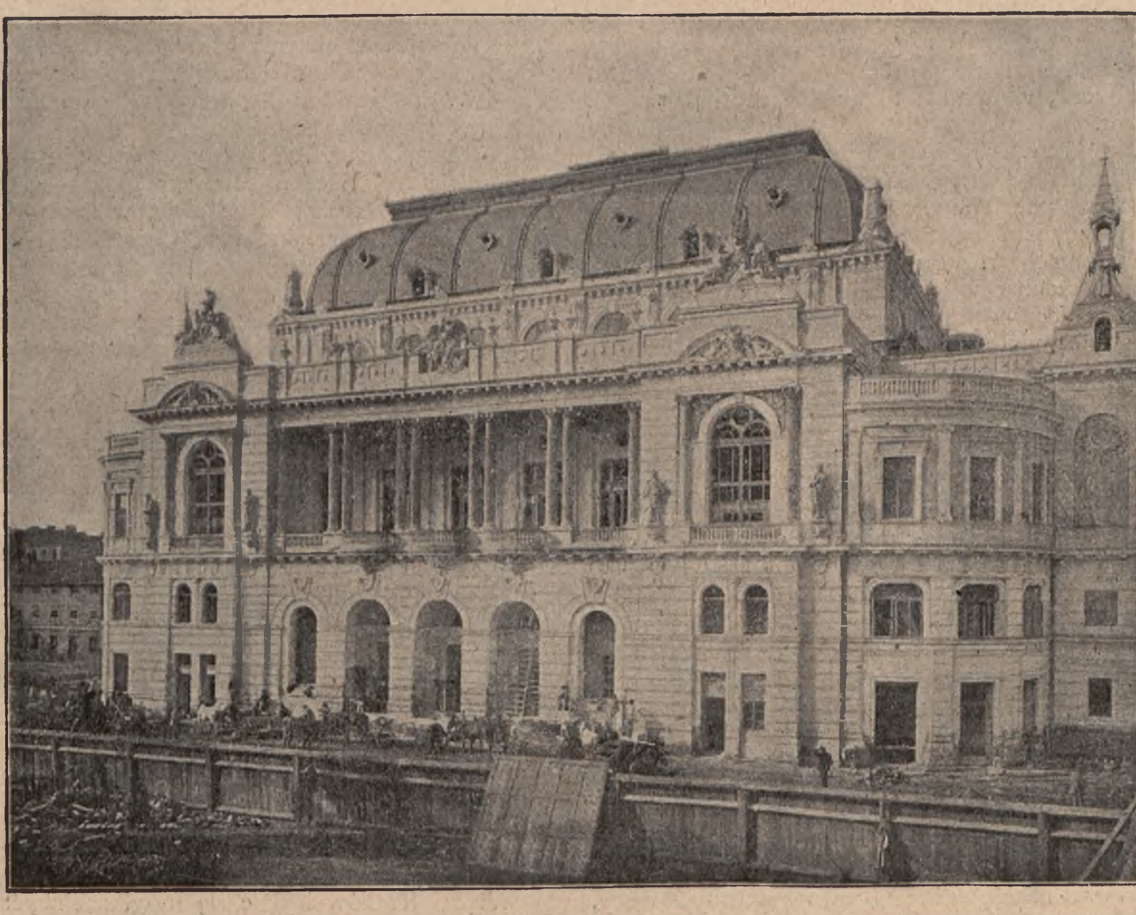
„Głos Narodu" ilustrowany.

Filharmonia Warszawska.

Warszawa święci piękną uroczystość: wzniesienie muzyce własnego, wspaniałego gmachu. A nietylko gmach przybywa miastu: zamieszka w nim duch, który daje nadzieję, iż nowy gmach będzie prawdziwem ogniskiem życia artystycznego. Świeżo zaangażowana orkiestra, pozyskanie szeregu pierwszorzędnych koncertantów, zapowiedziane koncerty popularne, plan wieczorów symfonicznych i muzyki kameralnej — wszystko to zapowiada, że życie muzyczne Warszawy, dotychczas kierowane przez los i przypadek, obecnie będzie skoncentrowane i otrzyma kierunek stały, z góry zakreślony przez prawdziwych znawców i gorących miłośników sztuki...

Brak podobnego ogniska dawał się dotąd miastu o 700.000 mieszkańców dotkliwie uczuwać, jednakowoż dopiero tego roku udało się energiczniej inicyatywie prywatnej, wspartej na hojnej ofiarności miłośników sztuki, brakowi zaradzić. Inicyatywa wyszła od p. Aleksandra Rajchmana, redaktora »Echa muzycznego i teatralnego«, którego usilnym staraniom udało się w styczniu 1899 r. utworzyć towarzystwo akcyjne pod nazwą »Filharmonia Warszawska«. Zakres działania Towarzystwa jest bardzo szeroki, obejmuje więc prowadzenie sali koncertowej, budowę gmachów, utworzenie orkiestry, dawanie koncertów, zakładanie bibliotek etc. Kapitał akcyjny wynosi 500.000 rubli, dywidenda przewidziana w wysokości 5%, reszta ma być przeznaczona na rezerwy i na cele publiczne, jak stypendya, urządzenie bibliotek, koncertów etc. Zarządza Towarzystwem dyrekcya złożona z trzech członków i dwóch zastępców; do pomocy w sprawach artystycznych ma ona radę artystyczną, złożoną z pierwszorzędnych muzyków polskich.

Tyle litera statutu, którą życiem i ruchem wypełnili dopiero ludzie. A dzięki Bogu Warszawie, gdzie chodzi o cele publiczne, szczególnie z sztuką popularną związane, na ludziach nie zbywa! Więc już w lutym 1899 r. rozpoczęły działalność posiedzenia akcyonaryuszów, które w skład pierwszego zarządu powołały ks. Stefana Lubomirskiego, bar. Leopolda Kronenberga, ordynata hr. Zamojskiego, Wł. hr. Tyszkiewicza i Ludwika Grossmana. Dyrektorem Towarzystwa obrano Aleks. Rajchmana,



GMACH FILHARMONII WARSZAWSKIEJ
(Budowniczy Karol Kozłowski).

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 9 listopada 1901 roku.

artystycznym znanego muzyka, kapelmistrza opery, Emila Młynarskiego.

Zarząd nie próżnował... Energicznie zabrał się przedewszystkiem do sprawy budowy gmachu, a równocześnie — do zorganizowania własnej orkiestry. Pracę niezmiernie ułatwił bar. Kronenberg, wyłożywszy na zakupno placu pod budowę kapitał 170.000 rubli; przeszkody główne zostały tedy usunięte. Do opracowania planów powołał zarząd nasamprzód znaną firmę wiedeńską Helmer i Fellner, plany ich zostały jednak zużytkowane tylko jako podkład, samodzielnie rozwinięty i wykonany przez budowniczego Karola Kozłowskiego.

I gmach stanął. Ze zdjęć zamieszczonych w naszym numerze przekonają się czytelnicy, że zakrojony na miarę prawdziwie europejską — jest istotnie wspaniałym. Zajmując przestrzeń 7.000 łokci, całkowicie zabudowaną, zawiera: piwnice obszerne i widne, westybul z wieszadłami na 2.000 osób, sześć sklepów i dwie »butiki« płytkie, kawiarnie i restauracye z oddzielnym wchodem od ulicy, lokal dla Towarzystwa śpiewackiego »Lutnia«, oraz ubikacye na bibliotekę, skład instrumentów, pokoje dla zarządu, artystów etc. Sal koncertowych jest kilka: główna na pierwszem piętrze obejmuje miejsc 2.000, mała na muzykę »kameralną« i popisy specyalne — miejsc 500. Gmach cały zbudowany jest w stylu włoskiego renesansu z przymieszką francuskiego i ma trzy fronty, bogato, może za bogato ze względu na czystość i spokój linii, dekorowane. Główny front od ul. Jasnej uderza przepiękną loggią, której ryzolity boczne zakończone są monumentalnemi figurami, symbolizującemi muzykę klasyczną i muzykę swojską dłuta Romana Lewandowskiego; pod niemi stoją na krokstynach posągi mistrzów tonów: Mozarta, Beethovena, Chopina i Moniuszki dłuta Władysł. Mazura.

W ogóle w ozdoby artystyczne gmach został wyposażony obficie, jakkolwiek co do wartości ich zdania są podzielone. Plafon sali głównej malowany przez Jana Strzałeckiego przedstawia na trzech polach rozkołysany dzwon — Apollina z grupą słuchaczy i widzów — Muzy pląsające; pomysł nieco wymuszony a i wykonanie nieszczególne; plafon foyer zawiera obrazy Zdzisława Jasińskiego, symbolizujące muzykę ludową i apoteozy sztuki. Ozdobił ściany freskami także Henryk Siemiradzki.

Najwięcej jednak artyzmu należy się spodziewać po zarządzie nowej instytucyi i siłach i planach artystycznych, powołanych przezeń do działalności. Zasługą już jest wzniesienie Muzom gmachu własnego, zasługą — zorganizowanie własnej orkiestry, złożonej z 65 osób bez koncertmistrza i dyrektora, obsadą swą równej orkiestrze filharmonii berlińskiej. Plan działalności zarządu dotąd zakreślony, przedstawia się wprost imponująco; zawiera szereg koncertów inauguracyjnych z współudziałem Paderewskiego (5. listopada), St. Barcewicza, Bandrowskiego (8. listopada), Rosenthala i Auera (22. listopada) w ogóle 11 koncertów przy współudziale pierwszorzędnych sił muzykalno-wokalnych — z prezentacyą Warszawie arcydzieł muzyki europejskiej dotąd jej nieznanych. Żeleński i Noskowski, Paderewski i Stojowski, jako kompozytorzy swojscy, ci i Młynarski, jako dyrygenci — pierwszorzędni wirtuozi obcy i swojscy, wspaniałe, świeżo zorganizowane chóry oraz orkiestra własna, jako wykonawcy — ruch to artystyczny, który przypomina najpierwsze ogniska sztuki światowe.

Winszujemy tedy Warszawie tego postępu niezwykłego i życzymy, by wyszedł na chwałę i pożytek całego narodu.

BRONISŁAW HUBERMANN.

(Ilustracya na stronicy 162).

Przed kilku laty pojawił się jako cudowne dziecko, więc zrazu, jak to bywa, kiwano głowami. Lecz, gdy usłyszano chłopca 10-o, potem 12-letniego grającego ze sławną orkiestrą filharmoniczną w Wiedniu w wielkiej sali Musik-Vereinu utwory najtrudniejsze: powstało i zdumienie i zachwyt. Zdumienie z powodu skończonej techniki, z powodu wirtuozostwa nadzwyczajnego. Adam Münchheimer, twórca »Mazepy«, posyłając wtedy swojego walca, pisał mu: »czytam, że bierzesz podwójne flageolety i t. d.; nie mam pojęcia jak to robisz, ale umieściłem je w moim walcu«. Zachwyt zaś powstał z powodu gry pełnej uczucia, tonu pełnego, a czystego, i takiego dziwnie głębokiego zrozumienia wielkich utworów Beethovena, Schumanna, Brahmsa, Wieniawskiego i innych, że była to istna zagadka, jak może chłopiec być takiej pełnej sztuki wcieleniem. Miał dać wtedy w Wiedniu jeden koncert, a dał ich tuzin; zachwyt nie miał prawie granic. Widziałem jak stary Brahms ucałował Bronisława i powiedział: »Nigdy jeszcze nie słyszałem mojego koncertu tak granego, nigdy się mnie samemu tak nie podobał«. A Strauss Johann, który nigdzie nie chodził, lękając się zaziębienia w ostatnich latach swojego życia, kilka razy zrobił wyjątek dla Bronisława.

Po takiej sankcyi artysty w Wiedniu — a co do muzyki ma Wiedeń pierwszy głos — koncertował on w rodzinnej Warszawie, w Petersburgu, w Bukareszcie, gdzie królowa, Carmen Sylva, żadnego koncertu nie opuściła, na dwór go zapraszała — i chłopiec artysta nadwornym muzykiem zamianowany został. Trzy lata potem artysta koncertów nie dawał; kształcił się w naukach i dalej w muzyce i kompozycyi, bo, jak mi pisze: »w sztuce nie ma granicy, nie ma kresu doskonałości«. Tego roku dopiero w maju znowu grał w Abbazyi dla królowej rumuńskiej — już nie chłopiec, ale młodzieniec, jak go widzimy w naszej ilustracyi. Carmen Sylva odezwała się wtedy: »ależ pan grasz jeszcze więcej niebiańsko niż wprzódy«.

Po koncercie w Wiedniu przybywa teraz do Krakowa. Z albumu jego przytoczymy tu — szczególniejsze zaprawdę zapiski:

Nie spotkałem w życiu tak muzykalnego geniuszu.

Joachim. — 1892.

Tak gra tylko geniusz. *Rubinstein.* — 1892.

Wielkiemu artyście Bronisławowi Hubermanowi zawdzięczam wielką duchową biesiadę.

Hanslick. — 1895.

Więc i Kraków będzie się mógł zachwycać.

Dawny

Pierwszy Zarząd Filharmonii Warszawskiej

od dnia 6. lutego 1900 r.



Leopold baron Kronenberg
Prezes Zarządu.



Stefan książę Lubomirski
Wiceprezes Zarządu.



Emil Młynarski
Dyrektor muzyczny.



Aleksander Rajchman
Dyrektor zarządzający.



Karol Kozłowski
Budowniczy gmachu.



Ludwik Grossman.



Maurycy hr. Ordynat Zamojski.



Władysław hr. Tyszkiewicz.

OBRAZY LITERATURY POLSKIEJ.

W ostatnich czasach daje się u nas zauważyć żywszy ruch w kierunku badań nad dziejami literatury polskiej. Pojawiły się kapitalne opracowania całokształtu tych dziejów, pióra prof. Chmielowskiego (6 tomów), tudzież prof. Tarnowskiego (dotąd 5 tomów), popularne zaś — pióra Kaz. Króla i Nitowskiego, tudzież braci Mazanowskich (księg. Friedleina, Kraków); dziejów literatury naszej w bogatem ilustrowanem wydaniu Dra Biegeleisena, będących właściwie dziejami kultury w Polsce — wyszedł niedawno tom trzeci. — Obok tych pisarzy, dających syntetyczne całości, oparte na studyach i badaniach lat wielu, pracuje cały szereg uczonych nad poszczególnymi rozdziałami i dobami piśmiennictwa, wzbogacając jego znajomość i historyę przedrukami starych i rzadkich tekstów (wydawnictwa Akademii Umiejętności) — gromadząc materyały, opracowując je monograficznie. Najwięcej ożywia się ten ruch na polu badań nad wiekiem XIX. Najświetniejsza i duchem nam najbliższa, żywa zawsze i promieniejąca dotąd swym blaskiem nieśmiertelnym epoka romantyzmu, teraz dopiero zaczyna być nietylko odczuwaną, lecz także dokładnie, sumiennie, z pietyzmem poznawaną; dość wymienić pojawiające się dopiero w ostatnich czasach krytyczne wydania pism naszych Wielkich — dość wymienić żywsze dopiero od niedawna zajęcie się pośmiertnymi utworami — skarbami nieprzebranymi — Słowackiego, albo prace syntetyczne o tym ostatnim pióra Jabłonowskiego, Jellenty, Żuławskiego... Pisma ich należą już więcej do prac literackich, niż naukowych — przemawia z nich nie badacz, lecz czytelnik wysoce wykształcony, obdarzony darem odczuwania i zmysłem syntetycznym, będący zwierciadłem, w którem odbija się jeśli nie cały duch, to cząstka duszy wielkiego poety. — Pisarzy tej kategoryi mamy obecnie najwięcej, a ulubionem ich polem — literatura współczesna, oświetlana z najrozmaitszych stanowisk, komentowana, popularyzowana, nieraz zaciemniana — ta literatura, w której jedni »panią i pocieszycielkę« widzą i są dla niej pełni uwielbienia, inni — wcielenie szatana dostrzegają i radziby ją umieścić w szpitalu...

Z pośród uczonych młodszej generacyi, pracujących nad dziejami piśmiennictwa naszego, najwięcej bezsprzecznie zasług zaskarbił sobie Dr Aleksander Brückner. Imię jego nieznane jeszcze szerszej publiczności, w kołach badaczy i miłośników przeszłości naszej literatury otoczone jest szacunkiem wysokim. Tarnopolanin, który studyował we Lwowie — wyspecyalizował się w filozofii słowiańskiej i pracami swemi, drukowanemi w organach fachowych Miklosicha i Nehringa, zwrócił na siebie uwagę zagranicy; od kilku lat jest też zwyczajnym profesorem literatury i języków słowiańskich na uniwersytecie berlińskim. Doskonały znawca piśmiennictw wszystkich ludów słowiańskich, z całą miłością oddaje się przedewszystkiem badaniom literatury swojej ojczystej. — Ze skarbców rękopiśmiennych biblioteki petersburskiej, zbiorów naszych krajowych i prywatnych wydobywa nieznane, pożółkłe rękopisy, z którymi najbieglejszy paleograf ledwie sobie daje radę, wykopuje butwiejące druki, chwyta białe kruki, i każda jego praca, czy to z dziedziny początków literatury naszej, czy zapomnianych kaznodziejów, poetów, pamiętnikarzy epoki pozygmuntowskiej — to prawdziwy szereg cegieł pod fundament dokładnej znajomości pełnej przeszłości literackiej. — Ale nietylko jako wydawca i ścisły badacz, odznacza się prof. Brückner; jest on także umysłem syntetycznym — który uzbrojony w szeroką wiedzę i przenikliwość filozoficzną, traktuje wszelkie zjawiska literackie, jako objawy cywilizacyi, łączy je przyczynowo i rozwojowo, wiąże w łańcuch dziejów kultury z głębi duszy narodowej wysnutej. Mała rozprawa jego: »Cywilizacya a język« należy w tym kierunku do najświetniejszych rzeczy, jakie literatura nasza posiada.



WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI
(Fot. J. Mien).

Obecnie pojawiło się niespodziewanie tegoż autora dzieło (»Gesch. der poln. Literatur, v. Dr A. Brückner, Lipsk«) które spełnia podwójne zadanie: informuje o naszem życiu duchowem zagranicę i ujmuje całość jego objawów literackich syntetycznie. Nie wątpić zresztą, że znajdzie rychło tłómacza na język ojczysty. Nastąpi to rychło, bo istotnie tak krótkiego a świetnego podręcznika dotychczas nie posiadaliśmy. O ile krótkość czasu pozwoliła zoryentować się, stoimy przed dziełem równie doniosłem dzięki nowości i ścisłości materyałów z pierwszej ręki, na jakich jest oparte, jak i dzięki duchowi, który je przenika. Rzadko się zdarza, aby podręcznik dla szerszej publiczności przeznaczony przyniósł tyle odkryć i nowości naukowych, ile ten właśnie odnośnie do literatury naszej prawie do epoki Stanisławowskiej. Po Chmielowskim i Tarnowskim — prawdziwa to jeszcze kopalnia



Paderewski
(Specyalne zdjęcie w Wiedniu w pracowni Jana Szczepanika).



Zygmunt Noskowski
(Fot. J. Mien).



Zygmunt Stojowski
(Fot. J. Mien).



Ignacy Paderewski
(Fot. J. Mien).

Kompozytorzy polscy, których utwory składają się na pierwszy koncert w Filharmonii Warszawskiej.
(Żeleński, Paderewski, Stojowski, Noskowski).



BRONISŁAW HUBERMANN.
(Artykuł na stronicy 158).

faktów, a na nich oparty jest szereg charakterystyk, skreślonych po mistrzowsku. Do wyżyn artyzmu i gorącego uczucia wznosi się prof. Brückner, mówiąc o naszej konstellacyi najjaśniejszej: o Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim. Potem czasy ostatnie — reakcya przeciw romantyzmowi — pozytywizm — walka prądów politycznych, filozoficznych, społecznych — pełnia życia narodowego z Sienkiewiczem na czele.

Uczony badacz złączył się tu z entuzyastą-Polakiem i znajduje akcenty wymowy gorącej, która cudzoziemców powinna zagrzać, porwać i zachęcić do bliższego wnikania w nasze piśmiennictwo. I w tem już zasługa niemała. Z powodów politycznych aż nadto znanych i z winy naszego niedbalstwa, życie nasze literackie ostatnich czasów jest dla zagranicy *terra ignota*. Wszak dopiero niedawno poznali obcy Sienkiewicza, a ileż talentów polskich czeka jeszcze ocenienia — docenienia! Jakaż różnica między tym faktem, a popularnością np. pisarzy rosyjskich, lub niejednego czeskiego! Dzieło szan. profesora, rozpraszając mgły tej nieświadości, ukazując przez nie gwiazdy nasze narodowe — do prawdziwej obowiązuje wdzięczności...

Równocześnie pojawiło się na półkach księgarskich kilka dzieł skromniejszych znacznie rozmiarów i zamiarów, które powinny na siebie zwrócić uwagę publiczności.

P. Kazimierz Wróblewski przypomina w specyalnej monografii ogółowi naszemu postać i pienia jednego z najwyższych duchów poezyi romantycznej*). Samo przypomnienie wdzięczność tylko może u nas wywołać; sposób w jaki autor to czyni — mniej sympatyczne budzi uczucia. Ujejski był jednym z tych, którzy lirę, zostawioną przez wielkich wieszczów, wzbogacili kilkoma strunami, jednym z tych, co najwięcej wstrząsali pokoleniem niejednem, a i dotąd jako poeta nie jest martwy. Darmobyśmy w dziele p. Wróblewskiego szukali syntezy duszy poety, analizy jego twórczości. P. Wróblewski daje bardzo pracowicie zebrany materyał biograficzny, uzupełniający doskonale znaną książkę Bądzkiewicza, gdzie zaś kusi się o sąd estetyczny, tam krytyki nie wytrzymuje, np. gdy apodyktycznie twierdzi (str. 43), że »tworząc Jubala a i Hagar na puszczy... Ujejski wzniósł się na takie wyżyny twórczości poetycznej, na jakie wedrzeć się nie było mu już danem nigdy później«.

Jeszcze pytanie: skąd pod tytułem książki daty 1823—1893? Ostatnia data oznacza siedmdziesięciolecie poety, święcone uroczyście mnóstwem obchodów w kraju, ale na niej nie kończy się ani żywot poety, ani praca jego biografa!

Inna zupełnie atmosfera ogarnia nas, gdy zaczynamy czytać książkę Adolfa Neuwert-Nowaczyńskiego*). Zalewa nas morze wymowy świetnej, nerwowej, pełnej metafor, pleonazmów, blasków, antytez, sztuczności, zapału — narzuca nam się z nieprzepartą mocą suggestya indywidualności niezmiernie bogatej, parodoksalnej, o nader szerokiej skali duszy, jakkolwiek niezbyt głębokim umyśle. Wróblewski jest profesorem chłodnym, objektywnym, pedantycznym — Nowaczyński to artysta, chodzący po świecie z duszą otwartą, wrażliwą, przesubtelną, chcącą kochać, co wieczyste, piękne, wielkie, a zmuszoną przez to nienawidzieć, co płaskie, szpetne, filisterskie, a że szpetności więcej na świecie, niż wzniosłości, więc przemienia się prędko w bicz boży, w krytyka-satyryka, ostatni zaś graniczy nieraz z pamflecistą i karykaturzystą.

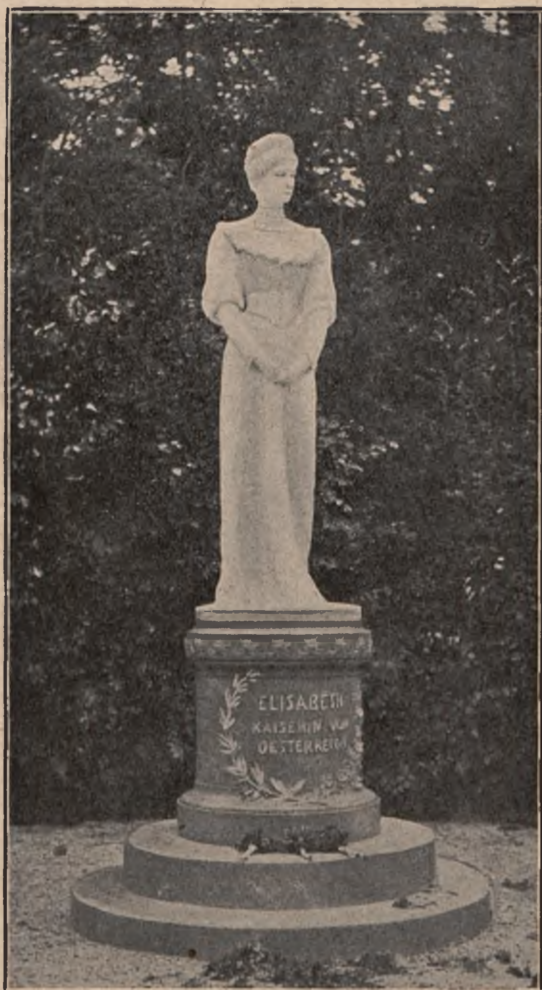
Nowaczyński jest bodaj najwybitniejszym u nas przedstawicielem krytyki impresyonistycznej, która zapanowała po objektywnej, naukowej Taine'a. Jest artystą, dlatego, gdzie odczuwa i opisuje — olśniewa, podbija; gdzie zaś sądzi — jest już czysto osobistym i wywołuje aż nadto często z naszej strony reakcyę. Książkę jego czyta się też z mięszanemi uczuciami; co chwila mamy ochotę posprzeczać się z autorem a nawet porządnie wykłócić — dopóki znowu nie zabłyśnie przed nami wspaniałą rakietą oryginalnego, jedynego u nas stylu, wiązanką myśli nie powszednich, spostrzeżeń bystrych, dowcipów i aforyzmów świetnych, a ogrzewa nas sercem gorącem, mimo cynicznych grymasów twarzy, płonącem wielką miłością prometejską i wielką nienawiścią ku wszystkiemu, co kala i skarla ducha ludzkiego.

Cechy te charakterystyczne dostrzegamy w autorze zawsze, czyto gdy wielkimi rysami kreśli obraz dramatu polskiego XIX. wieku, czy też sylwetki Miriama, Podhalan naszych, d'Anunzia, gdy wżywa się w twórczość »gotyckiego greka« Boecklina, lub gdy pełen entuzyazmu pisze o wielkich satyrykach nowoczesnych: Multatulim, Heinem (z Simplicissimusa), Hogarcie. Modernista — bez ciasnoty, artysta z oczyma otwartemi też na prądy społeczne czasu, duch wolny w szerokiem znaczeniu słowa, Nowaczyński, jak rzadko który z naszych pisarzy, pobudza duszę i umysł. Lektura jego książki to walka, ale i rozkosz i podnieta duchowa...

Zoil.

*) Kazimierz Wróblewski: Kornel Ujejski (1823—1893). W dodatku garść listów Ujejskiego, Szajnochy i Bohdana Zaleskiego. Lwów, nakładem Towarzystwa wydawniczego.

*) Studya i szkice. Lwów, nakł. Towarz. wydawniczego.



Pomnik Cesarzowej Elżbiety
dłuta Helmera w Salzburgu.

CARMEN SYLWA.

Piszą nam z Wiednia: »Królowa Rumuńska Elżbieta — poetka Carmen Sylva — złożyła na grobowcu cesarzowej Elżbiety u Kapucynów w Wiedniu wieniec szarotek i wiersz: *Eine Handvoll Edelweiss*. Podajemy go tu w przekładzie.

GARŚĆ SZAROTEK.

Z najwyższych wyżyn przynoszę ci kwiaty,
Do niestrudzonych składam je twych nóg,
Co wędrowały i w najdalsze światy,
Do szczytnych celów szukające dróg:
Gdzie utęskniony spokój, wiedza pewna,
Czystości, światła wieczyste krynice...

Składa ci kwiaty dusza moja rzewna
Zebrane tam, kędyśmy, dziewice
Nieraz chadzały, — wśród zachwytów drżenia,
Wśród kwiatów, myśli, co jak błyskawice
Z gwiazd twoich oczu takim blaskiem płoną,
Że aż nie mogła rosa wyjść z zdziwienia,
Że przyciemniała, patrząc w jasność oną...

Nie było mety dla twych stóp i ducha,
Co był jak górski kryształ: śmiało spada
W głąb niezbadanych pytań, śmiało słucha,
Gdy tajemnicą przepaść doń zagada

Korony cień nie ciężył twojej głowie,
Z myśli i z tajnych mąk tobie włosy
Plotły koronę. Nie tobie wezgłowie
Z mocy, przepychu tej ziemi; twą żądzą
Duch był — i wiecznie pytająca, chciwa,
Tam się zaciekasz, kędy duchy błądzą.
Próżna radości ziemskich — Tyś szczęśliwa
Tylko gdy długiej, cichej nocy czary
Stroją ci pióro. Ducha bohaterów
Płyną ku tobie wtedy jasne mary;
Wśród wyzwolonych, wielkich myśli szmerów
Obcujesz wówczas z duchy szlachetnemi,
Ty najpiękniejsza ze wszystkich na ziemi.

Dlatego siostro wyniosła, milczące
Z pod chmur Karpackich kładę tutaj kwiaty,
Gdzie umęczenie twoje już jest śpiące,
Gdzie już twój spokój ma za sobą światy.

Łagodnym szeptem niech mówią ci o tych,
Którzy w twe ślady po wyżynach krążą
I do wieczności wędrują i dążą.

Carmen Sylva przedziwnie w tym wierszu zagadkową Cesarzową charakteryzuje — a niemniej pod koniec i siebie. Ryciny nasze przedstawiają pomnik cesarzowej dłuta prof. Helmera, oraz portret królowej — poetki.



Carmen Sylwa.
Królowa rumuńska.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali – jej „Pa“ i „Ma“

Ciąg dalszy.

Wróciliśmy za nim, ale już się gdzieś podział.

„Ma“ koniecznie chciała go widzieć...

Ledwie jej „Pa“ wytłumaczył, że przecież jedziemy do Rzymu, to ich tam będziemy mieli tyle, ile tylko zechcemy. —

Byliśmy i na zamku.

Ogromny ale też odrapany i tak smutny i tak tam czuć żołnierzami .. że to coś okropnego.

Mają z niego zrobić mieszkanie dla Cesarza, chciałabym go wtedy zobaczyć! Dopiero to muszą być wspaniałości!

„Pa“ miał łzy w oczach i tak klął, tak wymyślał, że bałam się, aby kto nie usłyszał, a „Ma“ ciągle nos wycierała!

Tylko nie rozumiem dla czego? — No, bo że to dawny królewski zamek, i, że teraz mieszkają żołnierze — to cóż nadzwyczajnego?...

A u nas też całe dwa lata mieszkał jeden jenerał...

Byłabym zapomniała. Prawie razem z nami chodzili jacyś państwo.

Naprawdę, ale od wyjazdu z Warszawy, to dopiero pierwszy kostyum, wart oglądania. Ona śliczna, a jak ubrana! Jezus, aż mnie oczy rozbolały od patrzenia na nią. Cała na popielato; futro, kostyum, buciki, kapelusz, a jaki szyk, jakby prosto od Wortha!

Chciałabym się kiedy tak ubrać, mnie doskonale w popielatym...

. . . .

Później. „Pa“ dopiero wrócił ze Stokrotkami.

Tłumaczył się przed „Ma“, że Stokrotki uciekły mu na planty, i dlugo musiał ich szukać...

Gadanie... był na piwie, to się już z daleka czuje...

Już było ciemno jak wróciliśmy z Wawelu, na linii analfabetów było pełno ludzi... Dobrze się przyglądałam i naprawdę nic — ani jednego kostyumu, ani jednego kapelusza, ani jednej twarzy... A u nas jak się idzie Krakowskiem, to niewiadomo wprost gdzie pierwej patrzeć! —

A na rogach i przed Hawełką stało pełno oficerów... Myślałam z początku, że to posłańcy albo inni jacyś ludzie, no bo tak wystają pod domami!

Ale kuzynek mówi: oficerowie! bo posłańcy noszą czerwone czapki i nazywają się ekspresami! —

Ale ci oficerowie są bardzo szykowni, tylko tak śmiesznie ubrani! — Mundury mają takie jakieś, jakby spódniczki baletowe, no i z pewnością chodzą w gorsetach!...

. . . .

29 marca, rano.

— Boże, tak jestem wzruszona, że poparzyłam się herbatą!

Nadzwyczajna wiadomość! Nie, nigdym się tego po „Pa“ nie spodziewała.

Idźcie sobie Stokrotki, nie przeszkadzajcie! W nocy przyszła depesza z Warszawy, że „Pa“ został wybrany prezesem nowego towarzystwa asekuracyjno-pożyczkowo-lombardowego.

„Pa“ prezes!

Mój „Pa“ jest prezesem!!

. . . .

Wieczorem. — Ach co wrażeń, co wrażeń... jestem wprost upojona i nie chce mi się wierzyć, że to naprawdę, że ja tego nie czytałam...

Ale jutro wieczorem jedziemy dalej.

Dostałam list od pana Henryka! Tak ślicznie napisany, że ogromnie żałuje, iż niemogę go przeczytać chociaż Naci... a taki dobry, że aż mi się płakać chciało... chociaż szkoda, że on nie pisze tak, jak dekadenci, ci przyjaciele kuzynka, co to Przybyszewskiemu mówią: „Stachu“.

A propos Przybyszewskiego! Poznałam go, t. j. pokazał mi go w teatrze w loży, kuzynek.

Nie, nie jest taki śliczny, jak mówiła Ceśka, ale taki dziwny, że aż mnie dreszcz przeszedł...

Pierwszy raz widziałam sławnego człowieka tak z bliska; no bo kiedyś w Nałęczowie pokazywali nam Prusa — ale nie zrobił na mnie wrażenia: stary, w okularach i tak wyglądał jak pierwszy lepszy. Zupełnie się rozczarowałam. Naprawdę, ale ja myślałam, że wielcy ludzie to powinni inaczej wyglądać niż wszyscy!...

Co się mogło stać Stokrotkom?... takie niespokojne, piszczą...

„Pa prezes“ niechciał iść z niemi na spacer i poszedł sam na piwo...

„Pa“ przez to prezestwo zaczyna się coś zabardzo stawiać... ale to się skończy, jak tylko przyjedziemy do Warszawy. —

O! ktoś w sąsiednim numerze jakby płakał!...

. . . .

Wypuściłam Stokrotki na korytarz, niech sobie pobiegają!...

Te damskie buciki ogromne i pokrzywione, już stoją pod drzwiami, ale takie zabłocone i takie jakieś nieszczęśliwe... ale buty z ostrogami jeszcze widocznie nie przyszły! —

Byliśmy na kopcu, ale tylko na dole, bo deszcz padał i takie błoto...

Ostatecznie, to w końcu nudne to oglądanie — i naprawdę, ale w Krakowie niema co oglądać...

C. d. n.



Kazimierz Laskowski, b. delegat Namiestnictwa w Krakowie, poseł na Sejm z wielkiej własności Sanockiej

Liberat Zajączkowski.

Przynosimy czytelnikom dwa portrety zgasłego we Lwowie b. redaktora »Szczutka« i prezesa Towarzystwa dziennikarzy polskich. Ś. p. Zajączkowski, nie lubił ostentacyjności i okazywał szczególny wstręt do fotografii. Podajemy też jedynie fotografie jego z lat dawnych jakie pozostały; unikatem w swoim rodzaju jest fotografia jego w mundurze powstańczym, pochodząca z bogatych zbiorów p. Jarosława Odrowąż Pieniążka we Lwowie.

W następnym numerze scharakteryzujemy nieznaną już młodszej generacyi epokę »Szczutka« reprodukując przytem sławne swojego czasu, przepyszne jego humorystyczne typy.



Zajączkowski jako redaktor „Szczutka".



Zajączkowski jako powstaniec w 1863 r.

Podbój atmosfery.

Zaczynamy dosięgać dziedzin atmosfery dotychczas dla człowieka niedostępnych.

Dnia 31 lipca r. b. dwaj fizycy biura aerostatycznego w Berlinie, pp. Berson*) i Suring, wznieśli się balonem na 10.000 metrów.

Łatwo się to czyta, ale trudniej pojmuje.

Wieża Eiffla (300 m.) daje już wysokość zawrotną, z której ludzie zamieniają się na mrówki.

Kiedy w r. 1783 słynny prof. Charles wzniósł się z Robertsem na 2.000 m. uważano tę podróż za szczyt zuchwalstwa.

Dodajmy wreszcie, że według obliczeń astronomów, cała atmosfera ziemska jest względnie cienką warstwą i nie przenosi $^1/_{500}$ części średnicy kuli ziemskiej.

Dokładnie grubości jej obliczyć niepodobna, gdyż cyfry wypadają różne, w miarę tego, jakie zjawisko weźmiemy za normę do obliczeń, a wypadają różnie, ponieważ nie znamy wszystkich warunków, od których zależy gęstość atmosfery: nie wiemy np., w jakim stosunku zniża się temperatura w bardzo wysokich warstwach: a od ciepłoty powietrza zależy jego naprężliwość. W przybliżeniu tylko powiedzieć można, że na wysokości 75—90 kilometrów powietrze jest już tak rzadkie, że widocznego wpływu na barometr wywierać nie może.

Ale stopień jego rozrzedzenia już znacznie niżej uniemożliwia funkcye życiowe ciała ludzkiego.

Co do ciepłoty, to przypuszczano dotychczas, że na wysokości 10.000 m powinna już panować temperatura przeszło 60 stopni mrozu, sądząc po tym spadku, jaki obserwowano przy wznoszeniu się na parę tysięcy metrów. Okazało się znacznie mniej, mianowicie tylko 40^0 poniżej zera.

Zawsześ to jednak mróz przyzwoity! I nic dziwnego, że nasi podróżnicy, oprócz futer, wzięli z sobą piecyk.

Ale jeszcze gorzej mogło być z oddychaniem, wskutek rozrzedzenia powietrza. Płuca nie mogą funkcyonować bez tlenu, stanowiącego $^1/_5$ część atmosfery (ściśle 21 obj. tlenu na 79 azotu). Stosunek ten jest wprawdzie zawsze ten sam, zarówno przy ziemi, jak i na wysokich górach, a nawet w przestrzeniach dosięganych przez balony, ale ogólne rozrzedzenie powietrza czyni je niezdolnem do oddychania.

Dlatego to pp. Berson i Suring zabrali z sobą zapas tlenu w odpowiednich gazometrach.

Dzięki tej pomocy przy oddychaniu, dopiero na wysokości 9.000 m. zaczęli uczuwać skutki rozrzedzonego powietrza: szum w uszach, zawrót głowy, duszność, nacisk krwi przez przez skórę i t. d.

Na wysokości 10.000 m. obaj zemdleli; szczęściem jednak p. Berson zdążył pociągnąć za linkę klapy bezpieczeństwa przed zupełną utratą przytomności: balon wzniósł się jeszcze przez rozpęd do 10.300 m i począł opadać, a z chwilą wejścia w nieco gęściejszą atmosferę, obaj podróżnicy odzyskali przytomność.

Zapyta się może czytelnik, jakim sposobem wiadomo, że balon jeszcze poszedł 300 metrów wyżej, skoro obaj obserwatorowie zemdleli?

Otóż te rzeczy, dzisiejsze przyrządy zapisują automatycznie, można więc nawet puścić balon bez ludzi, a odpowiednio wyregulowaue zegary, termometry i barometry zapiszą nam żądane cyfry na przesuwającym się pasku papieru. Tylko, że w takim razie cały balon mógłby wpaść w wodę lub uledz innego rodzaju zniszczeniu, bez pożytku dla nauki.

---

*) Redakcya z przyjemnością donosi Czytelnikom, iż śmiały i uczony ten polski aeronauta listem z d. 19. października b. r. obiecał nam artykuł o tych senzacyjnych podróżach, ilustrowany specyalnemi fotografiami.

W ogóle zaś tego rodzaju podróże na wysokość mają tylko naukowe znaczenie. A tymczasem człowiek chciałby nietylko bujać po powietrzu, jak liść wiatrem niesiony, ale nadto jak ptak swobodny, szybować po przestworzu, w dowolnie obranym kierunku.

Niestety, mimo całego podziwu, jaki mieć można dla pomysłowości wynalazców, trzeba przyznać, że zbyt często fantazya ludzka o całe wieki uprzedza zdobycze realne, które, jak w tym wypadku, jeszcze dłużej niż zwykle każą szekać na siebie.

Pomimo znanej biegłości starożytnych w budowie różnego rodzaju automatów (zwłaszcza poruszających się figur), właściwe pozytywne próby szybowania w powietrzu należą dopiero do czasów najnowszych.

Od chwili kiedy Charles wynalazł klapę bezpieczeństwa, można było bądź to wznosić się wyżej przez wyrzucenie balastu, bądź zniżać, przez wypuszczenie części gazu. A ponieważ w różnych warstwach atmosfery napotykamy nieraz wiatry o różnym kierunku, można było do pewnego stopnia wybierać prądy powietrzne i dzięki temu odbyto niejedną podróż, z pozorami dowolnie obranego kierunku.

Czatując na odpowiedni prąd wiatrów panujących, mogli też Francuzi w r. 1870 nawiązać dość regularne stosunki oblężonej stolicy z prowincyą, a pamiętna wyprawa Gambetty balonem z Paryża do Tours niemało się przyczyniła do zorganizowania dalszej obrony prowincyi przeciw najazdowi niemieckiemu.

W okresie czasu od 24 września 1870 do 28 stycznia 1871 wysłano z Paryża 64 balony pocztowe z 358 gołębiami pocztowemi do powrotnej ekspedycyi i z pakami obejmującemi około 10.000 kilogramów listów.

Z owych 64 balonów, 6 tylko dostało się w ręce Niemców, 18 uległo różnego rodzaju wypadkom, a 2 utonęły w morzu.

W każdym więc razie nie była to jeszcze jazda dowolna w oznaczonym kierunku, i właśnie dopiero po wojnie 1870—71 zaczął się żywy ruch na tem polu, jak zwykle z inicyatywy Francuzów.

Przypomniawszy sobie dawniejszą (1852) próbę Giffarda, który pierwszy zastosował maszynę parową do sterowania balonem, zaczęto stopniowo ulepszać ich budowę.

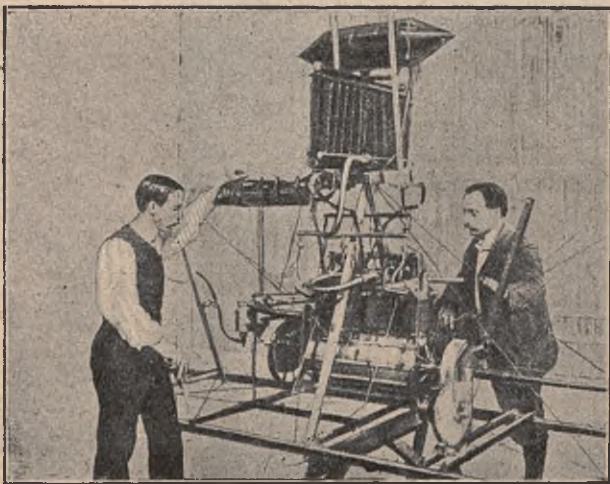
Spostrzeżono, że wielkie wymiary balonu Giffarda (44 m. długości na 12 m. szerokości) dawały zbyt wielką powierzchnię wiatrowi, że należało wybierać formy mniejsze, smuklejsze, powtóre, że należało ściślej niż na luźnych sznurach zjednoczyć łódkę z balonem, wreszcie zapobiedz temu, ażeby balon, bądź to wskutek utraty, bądź zgęszczenia gazu, nie stracił formy pełnej i nie obwisł w powietrzu. W tym celu Dupuy de Lôme, urzeczywistniając myśl Meusniera, umieścił w balonie głównym drugi mały, dający się napełnić powietrzem z zewnątrz, z łódki. Tym sposobem można było usunąć powstałe w bokach balonu wklęśnięcia i deformacye, grożące przekręceniem się balonu pod naporem wiatru.

Ale oczywiście najważniejsze starania wynalazców musiały się zwrócić w kierunku najodpowiedniejszego motoru.

Dupuy de Lôme bardzo rozsądnie zaczął od motoru ręcznego, gdyż w ten sposób najłatwiej było wypróbować własności, jakie winien posiadać motor balonowy.

Do długiej na 6 metrów łódki przymocował on śrubę z rodzajem wiatraka o 4 jedwabnych skrzydłach. Śruba obracana przez 4 ludzi, dawała 21 obrotów na minutę. Nadto między łódką a balonem przymocowany był 5-ciometrowy żagiel płócienny, dający się zwracać w różne strony.

Próba podjęta w r. 1872 z fortu Vincennes, wykazała, że przy szybkości nadanej balonowi przez śrubę: 2,22 metry na sekundę, można było przezwyciężyć napór wiatru, posiadającego szybkość mniejszą niż 2,22 metry na sekundę. W tych warunkach balon istotnie dawał się powodować, i oto zadanie



Santos Dumont próbuje motoru swego balonu przed wyprawą.



Przysposabianie jedwabiu na balon Santos Dumonta w fabryce balonów Lachambre'a w Paryżu.

zdawało się sprowadzać do formuły: wynaleść motor lekki, mogący nadać balonowi szybkość większą od szybkości przeciętnego wiatru, a więc co najmniej kilka metrów na sekundę.

Robiono próby w różnych kierunkach, ale bez wyraźnego rezultatu.

Dopiero oficerowie francuscy Renard i Krebs (1888) zdołali obmyślić motor elektryczny z baterya o kwasie chromowym i solnym i lekkich elektrodach srebrnych i cynkowych, który umożliwił pierwszą efektowną próbę powrotu balonu do punktu wyjścia.

Balon pp. Renarda i Krebsa zwracał się swobodnie na prawo i na lewo przy odpowiednio słabym wietrze, i ostatecznie wrócił do punktu wyjścia.

Zdawało się, iż podbój atmosfery został dokonany...

Niestety, i ta próba udana odstraszyła od dalszych prób z bateryami elektrycznemi. Element chromowy (a tylko taki daje dostatecznie wysokie napięcie energii elektrycznej) okazał się całkiem niepraktycznym.

Dopiero wynalazek praktycznych motorów naftowych i szybkie udoskonalenie samochodów, dało też popęd do nowych prób z balonami.

Pomysły sypały się jeden po drugim i gdyby wszystkie kombinacye rysunkowe, jakie się wysnuły z głów wynalazców, można było urzeczywistnić na poczekaniu, to naśladowcy Ikara jużby nam zasłonili słońce swemi powietrznymi statkami.

Jednakże dwaj tylko z nich zasługują na bliższą uwagę: hr. Zeppelin, Niemiec, i Santos-Dumont, Francuz z Brazylii.

Pierwszy obmyślił rzecz dość dowcipnie, ale w stylu niemieckim. Nie jest to właściwie balon, ale wielkie cygaro z blachy aluminiowej, w którem mieści się aż 17 balonów, wypełnionych wodorem.

Na przodzie i z tyłu statku umocowane są dwa wiatraki, których obrót, stosownie do swego kierunku, posuwa cały statek naprzód lub w tył. Nawet łódki są dwie zamiast jednej, zbudowane również z aluminium i mieszczące dwa motory benzynowe, dający każdy 12—15 koni parowych — a więc dużo więcej niż ręczny motor Giffarda, który jednak nie gorzej się popisał.

Właściwie, jedyną nieskomplikowaną częścią systemu jest przyrząd do zwracania całej maszyny ku górze lub ku dołowi, gdy się chce wznosić lub opadać: jest to poprostu ciężar przesuwalny łatwo z łódki, a nawleczony na linę poziomą. Gdy go ściągnąć w tył, wraz z nim przenosi się środek ciężkości i przód cygara unosi się ku górze — w razie przeciwnym pochyla się ku dołowi.

O różnych przygodach tej ciężkiej maszyny donosiły z wielką reklamą dzienniki, zwłaszcza od chwili gdy cesarz Wilhelm poparł wynalazcę ze swojej prywatnej szkatuły.

W rezultacie jednak żadna próba nie była tej natury, żeby komisya paryskiego Aeroklubu, potrzebowała poświęcić jej swą uwagę.

Znany Wam już dokładnie z opisu paryskiego Waszego korespondenta balon Santos-Dumonta odznacza się przedewszystkiem prostotą, jak każdy prawdziwy wynalazek.

Dr Julian Ochorowicz.

Otwarcie Teatru ludowego we Lwowie.

Lwów, 3 listopada

Kwestya Teatru ludowego stanęła u nas na porządku, za przykładem Warszawy i Krakowa. Jak wiadomo, zajął się nią niedawno Wydział krajowy i chcąc zbadać ją — puścił w ruch ciężki aparat urzędowy w formie ankiety, rozesłanej do całego legionu znawców, literatów, dyrektorów, krytyków zawodowych itd. Po kilku miesiącach nadeszły stosy memoryałów, które było można śmiało na osobnym wozie zwieść do biur Wydziału krajowego. Cały ten pasztet odstąpiono do łaskawego strawienia i »zaopiniowania« dyrektorowi Pawlikowskiemu, który go trawi właśnie z anielską cierpliwością. Czy ankieta będzie miała jakiś skutek pozytywny — da się to widzieć później, już dziś jednak p. Pawlikowski wyraża poważną wątpliwość co do pożytku całego przedsięwzięcia, które zgromadziło sądy najsprzeczniejsze i wykazujące grubą nieznajomość praktycznej strony interesu.

A tymczasem — nie czekając na ruszenie się ciężkiej inicyatywy oficyalnej — grono ożywionych szlachetnym zapałem miłośników sztuki dramatycznych porwało się do ciężkiego, lecz wdzięcznego



OTWARCIE TEATRU LUDOWEGO WE LWOWIE 3. LISTOPADA 1901 R.
Klisza zakładu Hegedüsa we Lwowie).

dzieła stworzenia Teatru ludowego. Zapał okazał się lepszym twórcą od poważnych ankiet urzędniczych i oto, gdy p. Pawlikowski z przykładną skrupulatnością (?) brnie w stosach memoryałów, odstąpionych mu do zreferowania, Teatr ludowy otwarty, w dniu dzisiejszym, gra już we Lwowie.

Króciutka jego historya wygląda tak:

W r. 1899 zawiązało we Lwowie grono osób »Teatr miłośników sceny« z zamiarem dawania przedstawień na cele dobroczynne. Zamiar ten powiódł się nadspodziewanie. Towarzystwo, zgromadziwszy około 30 amatorów i amatorek, do których doangażowano następnie 10 zawodowych artystów prowincyonalnych, i powierzywszy reżyserę artyście sceny lwowskiej p. Janowi Nowackiemu, dało w ciągu dwóch sezonów (1899, 1900) 70 przedstawień we wszystkich znaczniejszych miastach Galicyi i zamknęło pierwszy sezon czystym zyskiem w kwocie 560 koron, a drugi w kwocie około 1.500 koron. »Miłośnicy« zdobyli sobie wstępnym bojem popularność zarówno we Lwowie jak i na prowincyi, którą objechali tryumfalnie z »Romantycznymi« Rostanda i »Weselem« Wyspiańskiego. Krynica wydzierżawiła im na sezon letni 1901 swój Teatr, dzienniki poczęły respektować ich występy — powodzenie było zupełne.

Zachęceni niem — postanowili pomyśleć o zupełnem utrwaleniu swojego bytu i z teatrzyku, posiłkującego swoimi dochodami rozmaite stowarzyszenia filantropijne, zamienić się w scenę, istniejącą dla siebie samej, obracającą czysty zysk



Józef Białynia Chołodecki
Prezes Towarzystwa Teatru Ludowego.



Jan Nowacki
Reżyser.



Tadeusz Pilarski
Artysta i kierownik
w roli Pana Młodego z »Wesela« Wyspiańskiego.



Julian Dobrzański
Wiceprezes Tow.

ZARZĄD
TOWARZYSTWA
TEATRU LUDOWEGO
WE LWOWIE.



Zygmunt Drągowski
Skarbnik Tow.

na coraz to większe doskonalenie się i ciągły postęp. W takiej to chwili, d. 29 września b. r. wystąpił kierownik artystyczny p. Tadeusz Pilarski z projektem przetworzenia »Teatru miłośników« na stały Teatr ludowy we Lwowie. Myśl podobała się i została przyjęta. Wydzierżawiono na razie na rok salę w domu Towarzystwa pedagogicznego przy ul. Zimorowicza (w miejscu dawnego orfeum Klingsberga), przebudowano ją odpowiednio — i dziś otwarto ją uroczyście.

O godzinie 12. w południe zebrali się w sali nowego Teatru przedstawiciele świata literackiego, dziennikarskiego i artystycznego, delegaci Stowarzyszeń akademickich i robotniczych i spora garść publiczności, pozyskanej już dawniej przez miłośników. Księża łacińscy i grecko-katol. (Świsterski i Jaremowicz) poświęcili nową scenę, chór akademicki powitał ją pieśnią — a pp. Chołodecki (prezes), Pilarski (kierownik artystyczny), Nowacki (reżyser), dyr. Pawlikowski i p. Kazimierz Skrzyński (imieniem prasy) — przemówili.

Wieczorem odbyło się inauguracyjne przedstawienie. Grano »Na wyłomie« — dramat Leopolda Starzeńskiego. Dalsze przedstawienia będą się odbywały 3 razy na tydzień: jedno w sobotę i dwa w niedzielę.

* * *

»Miłośnicy« mają tę wielką zasługę, że kwestyę dostatecznie już obgadaną, a ślamazarnie prowadzoną i skazaną na pokutowanie Bóg wie jak długo jeszcze w fascykułach biurowych, postawili społeczeństwu przed oczy jednym śmiałym rzutem, jako czyn dokonany. Jakikolwiek jest ten teatrzyk, którego $^3/_4$ personalu rekrutuje się z amatorów, którego chór pożycza się z czytelni akademickiej, którego sala nadaje się więcej na koncerty, niż przedstawienia dla rzesz ludowych, ale istnieje już, działa i dotychczasowymi swoimi losami utwierdził po nad wszelką wątpliwość swoją żywotność i racyę bytu. O to właśnie chodzi.

Lwów rozumie doskonale, że udały eksperyment z amatorskim teatrem ludowym będzie introdukcyą do założenia stałego Teatru ludowego przez kraj lub miasto.

Observer.



Fig. 1.



Fig. 3.



Fig. 2.

DLA PAŃ NASZYCH.

List paryski.

Nastała pora sezonu, że każda córa Ewy, nawet taka, która nie »przepada« za toaletą, która nie myśli popełniać szaleństw i nadwerężać swego budżetu, aby tylko być ładnie ubraną — że każda z przyjemnością ogląda wystawy modystek, spieszy do krawcowej, do kuśnierza wreszcie..

Dobry gust jest prawem i obowiązkiem kobiety, a zatem obowiązkiem jej jest ze zmianą sezonu czuwać nad tem, aby nowy kapelusz, nowa suknia, nowe futerko — było w zgodzie z modą i z dobrym smakiem. Kto posiada gust istotny, może ubierać się szykownie i — tanio nad podziw.

Jedna z przyjaciółek moich, która olśniewa swemi toaletami, uchodzi za rozrzutnicę w oczach swoich znajomych. »Ależ ona męża swego rujnuje swemi sukniami« powiadają zazdrosne — serdeczne przyjaciółki. Gdzież tam! Budżet jej jest wcale skromny: ale ona u m i e się ubrać, wie. gdzie czego szukać, kupić — i ma pomysły oryginalne.

Swoją drogą, *entre nous* możemy sobie powiedzieć, że bądź co bądź taniość i elegancya istotna niestety rzadko chodzą w parze. Nieraz sukienka skromua, prosta, ach tak prosta — kosztuje dwa razy tyle co strojna...

Są pewne drobne szczegóły artystyczne, nadające sukni *une allure trés fine* i podrażające koszta niesłychanie..

N. p. figurynka I. (model paryski) pokazuje nam skromny ale gustowny kostyum *genre tailleur,* jeden z tych kostyumów bardzo prostych, których kobieta elegancka używa w dzień słoty, w podróży. na rannym spacerze. — Jest z szaro-popielatej serży -- odcień, w którym przeważnej części pań jest do twarzy — krój nadzwyczaj prosty: Skromne pliski stępnowane, jako przybranie; karczek z aksamitu zielonego, oszytego języczkami koronki *Bruges.* Ten skromny niby szczegół dodaje całej toalecie wy» twornego *cachet.* Ot wszystko!

Zupełna rewolucya nastała co do r ę k a w ó w.

W charakterystyczny sposób przedstawia nam to fig. II. (najnowszy model paryski). Cała z czarnej gazy jedwabnej, przybrana koronkami Chantilly haftowanemi żetem i kaboszonami szmaragdowemi. Spódnica z podwójną tiuniką.

Nigdy jeszcze futra nie były tak w modzie jak obecnie. Są kobiety, które noszą majątek na sobie. Lisy niebieskie i sobole dosięgają cen poprostu bajecznych. A mimo to — albo może, dlatego właśnie — nigdy nie widzieliśmy jeszcze tyle tych drogich futer.

En passant wspomnę, że to samo się dzieje z p e r ł a m i. I one rosną ciągle w cenę i wchodzą coraz więcej w modę. Najmodniejsze to dziś klejnoty!

O bajecznym przepychu, jaki się ujawnia w dziedzinie płaszczów i okryć futrzanych, nabierzecie moje panie wyobrażenia z dwu modeli paryskich, które Wam posyłam, »kreacyj« wielkich magazynów.

Jeden (fig. III.) płaszcz długi; z zibeliny popielatej; aplikacye z sukna tego samego odcienia Obszycie z lisów, potrzeby *en passementerie cachemire.*

Ekscentryczny — ale nie sposób zaprzeczyć, że ładny? — jest manteau (fig. IV.). Zważcie, jak szerokie są rękawy! Płaszcz ten zdobi jedną z najbardziej eleganckich artystek komedyi francuskiej, pnę Wandę de Bończa.

Sądzę jednak, że u Was, gdyby która z pań pojawiła się na ulicy w takim płaszczu, sprawiłaby zbyt wielką furorę. Nieprawdaż?

A przecie jednym z głównych warunków prawdziwej elegancyi - jest kromność, nie zwracanie na siebie uwagi na ulicy.

(Paryż). *Etincelle.*

Z Higieny.

Farbowanie włosów. Na ostatniem posiedzeniu towarzystwa biologicznego w Paryżu pp. Laborde i Meillier podnieśli ponownie niebezpieczeństwo farbowania włosów dla zdrowia. Przedstawili na posiedzeniu pacyentkę, cierpiącą na brak apetytu i niestrawność, która w ciągu roku straciła 10 kg. na wadze. Napróżno wysilali się lekarze na sposoby



Fig. 4.



Fig. 5. Kostyum spacerowy,
(Z wydawnictwa »Nowe Mody«.

zaradcze; pacyentkę napadały nudności, dostała zapalenia powiek, które opuchły. Nareszcie jeden lekarz zwrócił uwagę na to, że u tej chorej, mającej lat 50, są włosy silnie i jednolicie czarne. Przyznała ona, że włosy farbuje. Zakazano jej tego surowo i w kilka tygodni objawy chorobliwe ustąpiły. Lekarze przekazali, że srodek, którego do farbowania używała, jest bardo rozpowszechniony; producent sprzedaje rocznie 50.000 flaszek. Składa się z rozczynu Paraphenylendiaminu — w wodzie oxygenowanej z dodatkiem rezorcyny; są to produkta najnowsze chemii organicznej. Najwięcej szkodliwą, drażniącą jest resorcyna. Robiono doświadczenia na psach; objawiły się tęższame chorobowe stany i pies pięknie na czarno zabarwiony po 3 tygodniach zdechł. Sekcya wykazała, że także muszkuły i wnętrzności były zaczernione. Yvon wyłuszczał, że wszystkie środki farbujące są niebezpieczne, zarówno fabrykowane na podstawie ołowiu, soli srebrnych, chromianu potasu, czy też compêche, czy innego drzewa. — Niektóre czarne materye wywołują także na szyi przez tarcie poważne, zapalne rany, zwłaszcza materye ponownie farbowane. Trouessart uzasadnił, że jest tylko jeden nieszkodliwy środek do farbowania włosów: *henna*. Jest to korzeń krzewu, rosnącego na wschodzie i w południowej Azyi, który nosi także nazwę alkana (Lawsonia inermis). Kobiety ua Wschodzie używają liści tego krzewu do barwienia końców palców i paznogci na czerwono - pomarańczowe, co tam za piękne uchodzi. — Tynktura henny działa powoli, barwi najpierw na czerwono, potem na czarno. — Ale i tej tynkturze nie należy ufać, gdyż ją fałszują przez dodawanie materyj szybko działających, które mają trujące własności. Z wszystkich badań zatem wynika, że wogóle farbować włosów nie należy. Taką radę daje rozum, ale próżność i chęć podobania się, rad rozumu nie słuchają. Tak mówił ostatni prelegent.

Higiena w kościołach. W mieście Fano, dawnem Forum Fortuna, biskup Wincenty Franceschini, na skutek starań władzy sanitarnej w Turynie, rozesłał kurendę do wszystkich proboszczów swojej dyecezyi, w której nakazuje:

1. Bezpośrednio po każdej niedzieli i święcie, gdy wielki był natłok pobożnych, należy posadzki i podłogi kościoła desinfekować zapomocą trocin, zwilżonych dostatecznie rozczynem sublimatu w stosunku 1 do 100 wody. W dnie powszednie należy progi i schody wodą polewać i dobrze wyzamiatać.

2. Najmniej raz na tydzień należy całe ławki i konfesyonały zapomocą szmat lub mokrych gąbek starannie odczyszczać z kurzu, który jest pełen mikrobów.

3. Najmniej raz na tydzień należy kraty u konfesyonałów wymyć ługiem, wytrzeć i na nowo wygładzić

4. Z chrzcielnic i kropielnic należy dwa razy na tydzień wodę usunąć i wrzącym ługiem je wyczyścić, albo rozczynem sublimatu.

Biskup Franceschini ustanowił inspektorów do sprawdzania, czy przepisy te są wykonywane. Kary pieniężne za zaniedbanie mają wpływać do funduszu utrzymania kościoła.

»Revue scientifique« podnosi z wielkiem uznaniem te zarządzenia. Dodajemy, że w Wiedniu są w kościołach wzdłuż każdej ławki korytka z piaskiem wapiennym i liczne osobne spluwaczki. Najsurowiej zabroniono spluwać na podłogę, gdyż, jak wiadomo, głównie plwociny rozszerzają zakaźne choroby.

ALBUM NOWEGO SEJMU

SERYA VI.



Dr Leonard Tarnawski.



X. Maxikiewicz.



Włodzimierz Truskolaski
Prezes Rady Pow. Sanockiej, Sanok (kons.)

»DZIADY«

na scenie Krakowskiej.

W następnym już numerze, mamy nadzieję, przyniesiemy czytelnikom naszym szereg zdjęć fotograficznych z przedstawienia »Dziadów« na scenie krakowskiej.

Odkładając też do tego czasu obszerną recenzyę z przedstawień, zaznaczamy na razie tylko tyle, że wrażenie było wspaniałe.

Trzeba brać całość pod uwagę; całość pod względem inscenizacyi i gry — była potężna.

Przedstawienie »Dziadów« okazało dowodnie, w klasyczny sposób, co znaczy jednolity kierunek, co znaczy myśl i ręka reżysera.

Tym kierownikiem, tym reżyserem był poeta i malarz wielki w jednej osobie: Stanisław Wyspiański.

Jemu należy się uznanie i podziw za wprowadzenie »Dziadów« na naszą scenę. Jego inscenizacyi zawdzięczamy, że poemat dramatyczny »Dziady« jest na scenie dramatem poetycznym; jego fantazyi i pomysłowości malarskiej zawdzięczamy wydobycie z genialnego utworu, zamkniętego dotychczas w książce, całą moc scenicznych efektów, zestrojenie ich w jedną całość.

Nie na wszystko w inscenizacyi Wyspiańskiego godzić się można. Niejedno należałoby zmienić (np. obrzęd »Dziadów« w kaplicy) — a wrażenie byłoby silniejsze. Ale patrzmy na całość — i przyznajmy, że to — co widzimy na scenie — dokonane zostało w sposób, budzący podziw najwyższy.

Najwspanialej wypadły sceny: w więzieniu i improwizacya Konrada (pan Bednarczyk jako zły duch w czarnej zbroi ze skrzydłami ciemnemi był w tej scenie należycie demonicznym i mówił znakomicie), dalej scena w sypialni senatora (świetny był p. Kotarbiński, który w tego rodzaju rolach wymagających szerokich gestów i swady szerokiej nie ma równych w Teatrze krakowskim) a wizya była jak marzenie gorączkowe, malowniczą i dziwną... Co to za pomysł bajeczny dyabłów kostyumować na lokajów piekielnych!

W takie pomysły inscenizacya Wyspiańskiego obfituje.

Wreszcie sceny na balu u senatora. Wogóle sceny realistyczne na ogół lepiej wypadły scen fantastycznych. Dzieje się to z tego powodu, że naprzód sam geniusz Mickiewicza jest *par excellence* realistyczny, powtóre i Wyspiański zapragnął widma ubrać w zbyt realne szaty.

A artyści?

Wielkie zadanie podwoiło, potroiło siły.

Gra przeważnej części artystów, była bez zarzutu.

Podziwiać przychodzi w pierwszym rzędzie p. Mielewskiego, który udźwignął ciężar nadludzkiej roli Gustawa-Konrada; podziwiać trzeba jako senatora Kotarbińskiego, jako księdza Zelwerowicza, Sosnowskiego, Bednarczyka, Jednowskiego i wszystkie prawie występujące siły...

Tchnienie wielkiej poezyi przewiało przez scenę. Przeżyliśmy kilka chwil górnie i chmurnie i boleśnie — »jak ojcowie niegdyś całe życie«.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.